Ner 47. Kraków, 25go Listopada. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. —Rękopismów redakcya nie zwraca. Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.** Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Wychowanie Rodzinne.

List X. Wojciecha z Medyki.

(Zobacz Nr 42 i 43).

II.

Jaka dusza i serce w kim, takie jest i życie jego, jaka rodzina sama w sobie jest, t. j. jaka jej tradycya, obyczaj i całe ukształcenie, taka się wyrabia dalej na rody i narody podług rodzinnego kroju, ona daje swoim osobom pewną i sobie właściwą cechę, charakter; z jej grona wychodzą typy osób z swemi cnotami i wadami; ztąd też idzie ta zasada, że ile rodzin tyle różnych typów co do ciała i wychowania, i co do duszy samej. Otóż im prostsze i podobniejsze rodziny między sobą, im bardziej wiąże je jedna wiara, jeden obyczaj i jedna tradycya, im więcej życie całe rodzin jest podobne i jednakie, tem też większa solidarność w rodach i narodach, tem większa potęga na zewnątrz i wewnątrz. Młodzieniec odłączając się z rodzinnego gniazda, staje się nowem kółkiem nowej rodziny, jak gałązka jakiego drzewa, wsadzona w ziemię osobno, urasta w nowe drzewo, tak młodzieniec, odłączony od swej rodziny, staje się twórcą nowego gniazda, i ta nowa rodzina taką będzie po większej części, jakim był ojciec, dziad i pradziad, tu będą te same cnoty i wady, jakie były w ojcu, dziadu i pradziadu—i te same obowiązki. I dziewica idąc na nowy dom i nowe gospodarstwo i zostając żoną, matką itd. będzie znowu to szczepiła w swoje dzieci, co w nią zaszczepiła matka, babka; w jej domu będzie ta sama, że tak powiem moda, ten sam zbytek, te same wybryki itd. jakie widziała w domu rodzicielskim, i do czego się przyzwyczajała przez jakie 20 lat przy matce. Wyjątek tu może być wtedy tylko, jeżeliby dom rodzicielski okrył się hańbą jaką, tak żeby opinia poczciwa potępiała za to ojców, to córka nie pójdzie za ojcami, inaczej będzie podobniutką do ojców, choćby tylko część jedna rodzin hołdowała jakim narowom, a drugaby część potępiała je. Wszak ileżto śmieszności i wybryków popełnia do dziś niejedna rodzina polska, chociaż drugie rodziny potępiają to? a i dzieci tych rodzin pójdą lub idą już w ślady ojców bez uwagi na opinią dla tego jedynie, że to taka moda, że rodzinom bogatym i wyżej stojącym tak się podoba robić, że to nadaje jakiś ton wyższy, choć w rzeczy samej i fałszywy i śmieszny? Tak też jeżli gniazdo pierwsze zakłócone nienawiścią, jeżli w niem zły duch niszczył spokój, szczęście, i zostawił swary i piekło, to niezawodnie i dziatwa z tego gniazda będzie miała charakter pieniacki, zwadliwy, niespokojny, uporny, samolubny. Jeszcze dalej posunie się syn lub córka z takiego gniazda, bo... dla dogodzenia swej zaciekłości, pohańbi swoje ręce niejedną zbrodnią lub krzywdą dla drugich. Jeżeli pierwsze gniazdo było pełne zbytków, próżniactwa, włóczęgi po za granicą, lub obczyzny i t. d., to patrzcie na syna i córkę z tego gniazda, a nie znajdziecie ich w domu jeno za granicą, a w domu ich znajdziecie obczyznę, próżniactwa i zbytku co niemiara. Jeżeli pierwsze gniazdo opierało się na dumie rodu, majątku, paranteli licznej, albo i na dumie bez podstawy żadnej t. j. na samej próżności i na ideałach zwietrzałej przeszłości, i na udawanej pańskości, to patrzcie na potomków z tego gniazda, a dostrzeżecie na ich czołach obłoki dumy, wyniosłości i t. d., zaglądnijcie do ich dworów, a zobaczycie tam bramy zaryglowane dla biednego ludu, zobaczycie tam samych pachołków nadętych pańskością i dotykających czołami podniesionemi samych obłoków. Jak trudno potomkom polskich rodzin przyswoić sobie cnoty, których z gniazda pierwszego niewynieśli, tak podobno trudniej pozbyć im się owych pleśni i uprzedzeń w domu rodzicielskim nabytych. Tak uczy doświadczenie, i ktokolwiek rozpatrzył się dobrze w życiu rodzin, ten przyzna słuszność naszemu twierdzeniu. Trzymając się zasady: że jaki korzeń, takie drzewo i owoc jego, śmiemy twierdzić, że po ojców życiu można wyrokować o przyszłem życiu dzieci, a znowu z życia dzieci można odgadnąć charakter rodziców. Gdy się popatrzę na dzieci do 10 lat, jeżeli były chowane od samych rodziców bez obcego wpływu, albo przynajmniej pod opieką ich, to jestem gotów dać sąd o charakterze ojca, matki i nauczyciela najętego. Z życia dzieci można prawdopodobnie oznaczyć stopień moralności ich rodziny. To też syn i córka ojców polskich, jeżeli ojcowie nie są i nie byli dobrymi ludźmi, trudno aby byli kiedyś dobrymi Polakami. Dziecię, co nie kochało rodziny ani się nie związało miłością z gniazdem swojem, będzie później pędziwiatrem obojętnym na los swego gniazda, będzie odludkiem, nie będzie dobrym patryotą, a w razie danym może być zaprzańcem i zdrajcą swego gniazda. A jeśli takie dziecko założy nowe gniazdo na polskiej ziemi, to wyjdą zeń niedźwiadki i będą zabijać żądłami polskość w sobie i w drugich ludziach. Dziecię polskie, znarowione samo przez się albo przez rodziców lub przez nauczyciela i bony, albo nieszczęśliwym jakim trafem, jezeli zbuduje gniazdo nowej rodziny na polskiej ziemi, to pewnie nie zbuduje szczęścia pod swoją strzechą. I córka polska, jeżeli miała ojców tylko z nazwy Polaków, albo miała ojców dobrych Polaków, a nie kochała nigdy swej matki, ojca i krewnych, albo sama przez lata panieństwa swego nie widziała u matki miłości rodzinnej ani po-

święcenia i miłości ojczyzny i t. d. nie będzie w nowem gniaździe ani dobrą żoną, ani dobrą matką, ani obywatelką prawdziwą, ani patryotką, a zdejmie z niewiasty klejnoty, t. j. trzeba powiedzieć o niej, że jest złą dziewicą, złą żoną, złą matką i złą patryotką, to cóż zostanie na niej? Czemże jest ten syn polski, który teraz jest złym młodzieńcem i będzie potem złym mężem, złym ojcem i niepatryotą? my na takich nie mamy nazwy. Może czasem będą wyjątki, że z grona złej rodziny wyjdą dobre dzieci, a przeciwnie z grona dobrej rodziny wyjdą najgorsze dzieci, to nie obala zasady naszej postawionej, i to będą zawsze przypadki albo łaski niebieskiego Ojca albo też szczęśliwej i dobrej natury dziecka, że mimo złych ojców i złych przykładów ono się przecie nie zepsuje i nie zmarnuje.

(C. d. n.)

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Już odtąd wszystko inną przybrało postać. Nadzieja odżyła i podniosła śmiało głowę. Wodzowie znowu zwołali pod swoje sztandary porozpuszczanych wojowników.

Radosna wiadomość wnet przebiła mury Orleanu. Już się przestawano lękać angielskich zastępów. Dawna przepowiednia znalazła wstęp do uszu wrogów samych.

O posłannictwie Joanny już nikt nie wątpił. Utkano dla dziewicy śnieżnej białości chorągiew. Na niej przedstawiono Chrystusa Pana, siedzącego na tronie, oświetlały go lilie, okrążały jasne obłoki. Syn Boży dzierżył okrąg świata ziemskiego w lewicy, prawicą błogosławił unoszących się nad nim i do niego modlących się dwóch aniołów. Dziewica twierdziła, iż ś. Katarzyna wyrzekła: Oto weź chorągiew od Pana Niebieskiego i dzierż ją odważnie.

Książę Jan z Alençon i hrabia Dunois, dwaj najmężniejsi obrońcy Orleanu, wiadomością o dziewicy wielce się rozradowali i pokrzepili. Książę dla poznania jej przybył do Chinon, gdzie się zachwycił jej szlachetną postawą, i patrząc jak robiła lancą i toczyła rumakiem— darował jej też nielada bieguna.

Imie dziewicy wzrastało w powagę co chwila. Nawet jej przeciwnicy milkli.

Dziewica upominała: nie radzić, lecz działać należy!

Przecież dano pod jej rozporządzenie zbrojny hufiec, dostarczono żywności i amunicyi, by szła na odsiecz Orleanowi.

Król obdarowawszy ją pysznym rynsztunkiem, polecił dzielnemu Janowi z Aulon, który był pod wodzą hrabi Dunois, aby był jej marszałkiem i troszczył się jej osoby bezpieczeństwem. Ksiądz Jan Pasquerel, zakonu pustelników, został jej spowiednikiem, wiernym w całej wyprawie.

Żegnając się w Chinon z królem, przepowiedziała, iż w Orleanie strzała ją ugodzi, lecz jej najmniejszej tamy w niczem nie położy. Przepowiednia ziściła się co do słowa.

24go kwietnia 1429 r. wyruszyła Joanna z wielką radością swego serca z Tours. Z nią był w pochodzie arcybiskup rheimski; kanclerz królestwa; i wielki marszałek dworu królewskiego, Gaucourt. Ciągniono na Blois, gdzie mężny Lahire i marszałkowie de Rayz i St. Sevère przyłączyli się do zastępu, wynoszącego około 6000 bojowników, a który wnet się powiększył rotą Florentego d' Illiers, który się przebił wraz z bratem Lahirem przez Anglików dla dania wiadomości o następującej dziewicy obrońcom Orleanu, zaiste potrzebującym wspomożenia odwagi.

Pochód był wspaniały i radosny, nawet ptaszkowie niebiescy witali go i towarzyszyli mu serdecznym i czarownym śpiewem. Przed dziewicą, niezwykłą z postawy a jeszcze niezwyklejszą z posłannictwa nadzwyczajnego, postępował ksiądz spowiednik z chorągwią, którę mu dziewica ofiarowała, a na której widać było wizerunek Zbawiciela na krzyżu rozpiętego. Pod tą chorągwią powinien się był zgromadzać bogobojny zastęp. Tak się też działo co rano i wieczór i pod sztandarem modlono się i śpiewano psalmy.

Sama dziewica klęcząc pośród drugich ciche modły swoje z przepełnionego nabożeństwem serca zasyłała była do Pana zastępów.

Chwila, beznadziejna dla ludzi bez serca i wiary, sprawiała iż zacniejszym rosły serca wiarą.

A była to chwila, niechaj Pan Bóg świat od drugiej i trzeciej takiej, nie dla zasług naszych lecz przez miłosierdzie swoje i dla zasług Syna Swojego, na zawsze uchronić raczy.

Była to chwila: nędzy, zwątpienia, skarg rozpaczliwych; chwila, w której nie było światła, oprócz tego, co rozświecało przepaść przedzielającą życie doczesne od życia wiecznego, bez którego pierwsze niema najmniejszego znaczenia, któreby godnem było natury ludzkiej — tego odblasku Boskiego.

Była to chwila, w której się pojawiały zamiast dziatek, pożądanych dla pociechy rodziców... potwory, jakoby z powodu zaklęcia niewiast na nieczyste spojźrenia... w której nieurodzaj był jakoby wynagrodzeniem mozolnych prac rolnika, który nie wierzył w to, iże Bóg rosę zsyła i słońcu świecić każe, ażeby zasiewy wschodziły, krzewiły się, dojźrewały i pleniły na korzyść potomstwa Adamowego, które Chrystus Pan odkupił najmiłosierniej najświętszą krwią Swoją.

Była to chwila, w której zarazy morowe i głód przygrywały na fletniach i puzanach wojnie domowéj, najszpetniejszej, najhaniebniejszej, najzgubniejszej z pomiędzy wszystkich, które szatan wymyślił.

W tej właśnie chwili, a to na dniu 16go kwietnia 1429, bosy mnich Ryszard wystąpił w Paryżu. Zapowiadał bliskie cuda w kościele ś. Genowefy, i w kościele niewinnych dzieciątek — a tysiące, czyniących pokutę, przysłuchiwało się ojcu Ryszardowi. Za posłyszeniem pewnego jego kazania (w dzień ś. Marka) Paryżanie pozbyli się wszystkich znaków próżności, jako to: ogonów u sukień, fałszywych kędziorów, klejnotów... kart do gry...

Polecono wszystkim dowódzcom, aby bez porady z dziewicą żaden się na nic nie ważył... aby owszem każdy jej woli podlegał.

Lecz nie było w nich dostatecznego ducha wiary, bez którego nie ma dostatecznej spojni, więc i dostatecznej siły naprzeciw wrażej sile.

Dziewica rzekła: pociągniem na Bearne do Orleanu. Słyszący to rotmistrze i sam Dunois byli zdania, że w tem więcej zuchwalstwa niż odwagi. A będąc takiego zdania, chcieli ją okłamać podaniem miejsca Sologne, zamiast Bearne.

Kłamstwo udało im się na pozór.

Pochód pospieszał, a na jego czele księża. Śpiewano mianowicie psalm: Przyjdź Duchu Stworzycielu! (Veni, Creator Spiritus!) Uwolniono się od niepotrzebnego taboru, pozbyto się bezwstydnych kobiet za zleceniem dziewicy. 27go i 28go kwietnia przepędził dzielny zastęp noc w czystem polu. Bohaterka nocowała w zupełnej swojej zbroi, ciągle upominając, aby ufano Panu Bogu; ciągle powtarzając: jako łaska Pana Boga mi przyświeca, tak też i pomoc Pana Boga dla nas i z nami wszędy!

(C. d. n.)

Poezye

Adama Bełcikowskiego.

NIEBO.

To niebo, co nad moją zasklepia się głową,
Co dziwów pokazuje z każdą chwilą nową!
Gdy czyste, nakształt ziemi wielkiego zwierciadła,
Jak kropla rosy, która na kielich lilii padła,
Przez niebieskie przezrocza raz Apolla strzały,
To znowu blask księżyca przesyła nam biały.
Kto widział, a nie ukląkł, gdy słońce zachodnie
Na szarawy horyzont rozrzuca pochodnie,
Których ogniem zajęte całe niebo płonie,
Jak gdyby się w wulkanu przeglądało łonie?
Lecz na niebie, jak w życiu, zawsze ciągła zmiana;
By wód powierzchnia, wiatru oddechem wezbrana,
W drobne fale się jasne fałdują obłoki,
I tu i owdzie tylko jakiś maszt wysoki
Okrętu z chmur... nad inne podnosi swą głowę.
Uciekaj! bo za tobą fale pędzą nowe,
Coraz ciemniejsze, większe, jak wzdęte balony,
Po niebie zaczynają swój wyścig szalony;
Jeden drugiego coraz już więcej dogania,
Łączą się i wnet szereg ich niebo zasłania;
I... jak płótno namiotu nad głową żołnierzy,
Tak się horyzont szary ponad niemi szerzy.
I cicho. Aż tu pędzą znów zastępy nowe,
Czarne chmury — jak gdyby duchy zaświatowe,
Ostatnim już wyrokiem skazane na piekło,
W obszerne szaty kryjąc swoją rozpacz wściekłą...
I tylko z pod tych osłon wśród szumu zamieci
Czasem głuchy jęk wiatru ze szumem wyleci.
Lecz potępionych dotknie wyrok potępienia!
Bo za niemi się rzuca z pośród niebios cienia
Ognisty wąż — i gromem je u stóp swych kładzie,
Ryczące pieśń tryumfalną ku wrogów zagładzie!
I duchy nikną zwolna — suknie porzucają —
Opadają z ciał mglistych, w nicość powracają;
A na ich grobie, jakby nad grobami ludzi,
Nadzieja zmartwychwstania lepszych dni się budzi...
Oh! i któryż, poeta, albo malarz który,
Potrafi zdjąć nam wiernie oblicze natury?
Jednemu farb zabraknie, drugiemu wyrazów,
Ilekroć się do takich zabiorą obrazów,
I każdy w końcu powie po próbie skończonej:
Nad mistrza — możeszli być mistrz — stworzony?

Noc na popasie podolskim.

Dwie płaszczyzny mi tylko leżą przed oczami:
Jedna mroczna — to ziemia; a druga gwiazdami
I księżycem srebrzona — to niebo, co swoje
Jeszcze szaty rozwiesza, jako skrzydeł dwoje
Anioł w tworach malarzy nad duszą rozszerza,
Pod ochronę ją biorąc takiego pancerza.
Kilka chat tam z daleka — tu ramiona krzyża
Podnoszą się ku niebu, a niebo się zniża,
Chwyta je i utula w swem powietrznem łonie,
A wszystko razem ginie w mgieł wieczornych tonie;
I tylko gdzie księżyca światło linią padnie,
Tam się lice rozjaśni, tajemniczość bladnie —
Tak cicho!... dziwna jednak dolata muzyka:
Ukryty w lesie kłosów polny konik strzyka,
A tam dalej psy słychać, może wiatr je łudzi,
Cień nieletniego dębu... podobieństwem ludzi,
Że wzajem sobie hasła czujności podają.
Gdzie taka cisza, miło, gdy choć psy szczekają!
Piękną pustynia, kiedy serce jest spokojne,
Ale uciekaj od niej, gdy w duszy masz wojnę!
Tak żeglarz, skoro nagle znajdzie się wśród ciszy,
Słucha bacznie, czy wiatru szmer gdzie nie zadyszy?

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dokończenie).

IV.

Szukał perły — i znalazł.

Zaśnieżone pola iskrzyły się w promieniach styczniowego słońca. W blasku jego, szronem posrebrzony pałacyk kalinowski, niby uśmiechał się do szarawego, sędziwego brata w Lubońsku — jak gdyby podzielał wdzięczne swojego pana uczucie. Po jeziorze snuły się rzędy ciemnych sukman i kożuchów, bo właśnie wyciągano niewód; — w pośród tego ludu uwijała się czynnie smukła, wysoka postać w futrzanej ferezyi, i w czapce sobolej, a prowadzony przez stajennego wrony stepowiec, po lodzie niecierpliwie dzwonił podkową.

W zacisznym, ciepłym saloniku lubońskiego pałacu, siedziała pani marszałkowa, wiążąc cienką siatkę, ale raz po raz zagada, lub uśmiechnie się do zajętych krzyżową robotą, siedzących opodal: pani Bieniewskiej i panny Maryi Cześniowskiej. Sędziwa pani czemś szczególniej wesołem dziś zajęta była.

— Więc odgadnąć nie umiecie wcale, dokąd to wyjeżdżamy jutro? — zaczęła znowu, odłożyła na chwilę prątek i bierkę, i wypieszczone zatarła rączki.

— Przecież... nie do Drezna? — ozwała się pani Bieniewska, lękliwie niby, przeciągając wyrazy.

— Ale cóż znowu?! — rozśmiała się matrona — dalekiej, widzę, chce ci się podróży.

— Och, co do *chcenia*... bynajmniej! Ale... tak przypuszczałam.

— To i przypuszczałaś niedobrze.

— Może do Roztoczan, do pani jenerałowej? — wyrzekła panna Cześniowska.

— Chciałoby mi się!... Czyliżem ja to balowa jaka kręcicka? Mam córki na wydaniu, albo co? — i sędziwa pani uśmiechnęła się figlarnie. — Nie jesteście domyślne! — i zadzwoniła.

Panna służąca nadbiegła.

— A zapakujesz mi ten morowy, popielaty szlafroczek i szal czarny prawdziwy — poleciła jej, spojrzała się znacząco na towarzyszki swoje i uśmiechnęła się znowu. — No, to i co? Nie odgadujecież?

— Nie... niewiem! — zastanowiła się pani Bieniewska.

— Ej, toć już widzę, że powiedzieć wam trzeba!... Otóż — zaczęła z udaną powagą — jedziemy jutro do Tarlina, ażeby pana Jerzego Poraja oświadczyć o rękę panny Zofii Nasielskiej.

— Więc naprawdę! naprawdę! — pani Bieniewska, z radośnym na licu promykiem, zlekka w dłonie klasnęła. — Spodziewałam się tego trochę, gdy nie wyjeżdżał do Drezna, alem nie dowierzała wszelako.

— I jam takiego domyślała się końca — przemówiła Marya Cześniowska rozweselona — bo trudno, ażeby pan Jerzy zalet Zosi nie był ocenił.

— Baj bardzo! Teraz, to i każda z was wiedziała!... I domyślała się, i przewidywała!.. A wszelako kawaler w sekrecie swoje chował afekta. Chyba tylko jedna Zosia wcześniej poznała się na nich... A któż ich tam wie, jak porozumieli się z sobą!... Wczoraj — i pani marszałkowa podjęła znowu prątek i bierkę — wczoraj mi się wyspowiadał Jercio i pocieszyłam się serdecznie. A i zaraz prosił i błagał, by co rychlej oświadczyć go rodzicom; to więc i jedziemy jutro. Dawniej, wprawdzie, marzyłam o Irmie, oczarowała mnie trochę, wyznaję szczerze... Och, ale — i westchnęła — szkoda dziewczęcia!... Co to będzie dalej!

— Nie lęka się też ciocia kochana mrozu? — zagadała pani Bieniewska, ażeby myśl matrony do innego, przyjemniejszego zwrócić przedmiotu.

— Alboż to futer niema? Zresztą mróz nieduży, a koleją przemkniemy się szybko. Zmartwiłby się chłopiec, gdybym odwlekać miała: to w gorącej wodzie kąpane!... Ha! dobry uczynił wybór. Powiedział mi: że perły szukał i znalazł!... Wypada ze wszystkiego, ażebym go sama oświadczyła i atencyą szanownym kuzynom, a rodzicom panny złożyła. Deklaracya więc odbędzie się w Tarlinie, a zaręczyny będziemy obchodzili w Lubońsku, 9go lutego w św. Apolonią, w dniu imienin pani Nasielskiej.

W tej chwili posadzka w przyległym zaskrzypła pokoju, podniesiono portyerę — i ukazał się Jerzy; mroźny powiew lice jego mocnym skrasił rumieńcem, oko błyszczało wesoło. Przybiegł do babki, przykląkł i pocałował ją w kolano.

— Och, ty nic dobrego! — uśmiechnęła się z dobrocią sędziwa pani — wiem o co tobie chodzi — i pogłaskała go po głowie. — Zapytujesz o jutrzejszą podróż, nieprawdaż?

— Tak jest babunieczko! — i młodzian ująwszy w obie dłonie jej rękę, przycisnął ją do ust z uczuciem.

— Pojedziemy chłopcze, pojedziemy! Co ma być, to niechajże będzie. Boć i tam — uśmiechnęła się — pewnie także w tęsknocie młode puka serce.

Jerzy babkę znowu pocałował w kolana. Pani Bieniewska z współczuciem spojrzała. Marya uśmiechnęła się — ale łzę miała na oku.

Pani Marzecka do pani Bieniewskiej.

Tarlin, 27go stycznia 1860.

Po weselu zawitał do nas smutek i niepokój: pan Wągrowski odebrał list od żony, w którym go wzywa, by co rychlej do Drezna przyjeżdżał: że ma ciężkie bardzo zmartwienie — i że obłożnie jest chora. Zmartwił się biedaczysko bardzo. Wyjeżdża więc jutro — i ja z nim, ażeby im być pomocą, bo Irma zapewne tam nie potrafi dać sobie rady przy chorej matce. Nie pisała słówka jednego do ojca, co nam także niepokoju przyczynia.

Po co też jeździły do tego Drezna! — Zosia płacze, i byłaby pewnie pojechała zemną. Ależ to w żaden sposób być nie może—i też nawet mowy o tem nie było.

Pan Jerzy odprowadzi nas do kolei żelaznej. Nieoszacowany to człowiek!

Z Drezna napiszę — Boże daj, aby co dobrego!

Tekla.

W dzień ś. Apolonii — na znak dany zagrzmiały poza bramą moździerze. A w salonach składano właśnie solenizantce serdeczne życzenia.

Zaproszono jedynie li osoby należące do rodziny — bo panią marszałkową, jako też i państwa Nasielskich niepokoił brak wszelkich wiadomości z Drezna.

Potem po raz drugi zahuczały wystrzały, gdy pan Nasielski wprowadził Zofią, ubraną w biały kaszmir, z wieńcem z liści zielonych we włosach — i zebranym młodą parę przedstawił.

Zofia z objęć krewnych przeszła w uścisk matki i ojca — potem przyklękła u stóp babki wraz z Jerzym, i moździerze po raz trzeci huknęły.

Następnie złożyła deputacya włościańska życzenia młodemu państwu w imieniu gromady, nadto wieniec z orzechów, motek cieniuchnego przędziwa, kopę jaj i parę pięknych kapłonów. Jerzy przedstawił narzeczonej cztery młode pary z dóbr lubońskich, które uposażył na pamiątkę dnia tego, tyle rokującego mu szczęścia. W dniu tym otworzył także w Kalinówce dom przytułku dla starców i kalek pod imieniem *przytułku Zofii* — i wyprawił ucztę dla gromady całej.

W czasie obiadu, wśród gwaru wesołego, żwawej pogadanki i rozlicznego zajęcia, nie uważano wcale, że pani Bieniewska wydaliła się od stołu: poszepnięto jej, że przez umyślnego list z poczty nadesłanym jej został, i pospieszyli do swojego pokoju. — Był to list od pani Marzeckiej, która pisała:

Drezno, 7go lutego 1860.

Winnam was nasamprzód zaspokoić, że choroba pani Wągrowskiej nie jest zatrważającą wcale — bo raczej tylko zgryzota biedną znękała kobietę. Lecz zaledwie mam odwagę donieść ci o zmartwieniu naszem.

Irma z początku liczyła na przybycie Jerzego, i oglądała się za nim — lubo, że ani o tem był wspomniał. Rychło też rój różnej młodzieży kazał jej całkiem zapomnieć o *prowincyonalnym kuzynie*. — Pomiędzy ubiegającymi się o jej względy był Włoch, młody, piękny, zalotny *marchese Contarini*. Matka z początku spokojnem okiem na to patrzała, później zaczęła się niepokoić, zwłaszcza gdy jej z boku wielce niekorzystne o tym kawalerze poszepnięto szczegóły. Mówiła z Irmą rozmowa ta sprowadziła jej chorobę — i napisała do męża.

Nazajutrz po przybyciu naszem, zniknęła Irma z Włochem!... zostawiła tylko list do matki, w którym jej doniosła: że w Pradze ślub weźmie z *marchesem*..... Tymczasem zaś pan Wągrowski dowiedział się, że *Contarini* jest szuler, awanturnik — który, postradawszy wszystko co miał po rodzicach, puścił się... na różne drogi niedozwolonego przemysłu. — Pan Wągrowski pogonił zaraz do Pragi — lecz już ich tam nie zastał. Irma, jako pani *la marchesa* zgłosiła się do rodziców, na wyjeździe z Pragi — ażeby jej rzeczy i posag co rychlej do Florencyi odesłali.... Szczegółów listu nie powtórzę ci, bo i głowy nie mam po temu.

Co z biednemi dzieje się rodzicami, opowiedzieć nie umiem. Zabawimy tu jeszcze tydzień, a potem wracamy do domu.

Módlmy się, ażeby Irma dla nas całkiem straconą nie była!

Smutną tę wiadomość udziel rodzinie, jak uznasz najlepiej.

Pozdrawiam was wszystkich serdecznie.

Tekla.

Pani Bieniewska załamała ręce — płakała — i upłynęła godzina, zanim znowu do towarzystwa wróciła.

Nazajutrz dopiero dowiedziały się interesowane osoby o smutnym wypadku, jaki zagranica całej przyniosła rodzinie.

KONIEC.

Wrażenia Literackie.

Pod tym tytułem wyszła niedawno książka w języku francuskim, która nas podwójnie zainteresować może, i dla tego podnieść ją w naszem piśmie, i treściwem przebiedz sprawozdaniem z obowiązku dziennikarskiego postanowiliśmy.

Autorem tego dzieła jest bowiem kobieta, która, choć nie Polka, tak wysoko stanęła intelligencyą i talentem, że nietylko czyni zaszczyt wszystkim niewiastom, ale pomiędzy nowoczesnymi pisarzami męzkimi jedno z najpierwszych miejsc zajmuje. Autorką jest pani *Dudevant*, wsławiona w piśmiennictwie francuskiem pod pseudonymem *Georges Sand*. Zasłużona jej sława literacka jest własnością niewiast każdego narodu.

Drugi wszakże, ważniejszy niemal, powód niniejszego sprawozdania, daje nam treść samego dzieła. Pod nazwą wrażeń daje nam Georges Sand dzieje swoich licznych utworów wraz z własnym sądem o znakomitszych dziełach własnych. Z tego stanowiska dzieło to jest prawdziwą ciekawością literacką, godną już dla tego przeczytania, że wykazuje nam w całej świetności potężny w swej sile umysł wielkiej powieściarki, pojawiający się w sądach wypowiedzianych treściwie, szczerze i sprawiedliwie. Jest to przegląd godny zaiste tak wielkiej intelligencyi; nic w nim przesadzonego, nic teatralnego! Jest to pogląd wielkiego artysty, i wyznania prawdziwego talentu, który czuje się dość silnym, by się obejść bez przemilczeń i bez pretensyj.

Owóż ten przegląd, już przez się bardzo ciekawy, poprzedza autorka rodzajem studyum nad dramatem fantastycznym, w którem ustawia trzech wielkich poetów wieku, i trzy wielkie dzieła, szukając między niemi godnej i ich i siebie paralelli. Poetami wielkimi są Goethe — Byron — Mickiewicz; a wielkiemi dziełami Faust, Manfred i Dziadów część trzecia. To samo zestawienie daje nam miarę o wzniosłem stanowisku, z jakiego autorka wychodzi, a nas szczególnie zająć musi, gdy w tem zestawieniu zdybujemy nazwisko naszego nieśmiertelnego wieszcza w tak dobrem towarzystwie. Sąd takiej intelligencyi, jak pani Georges Sand, musi mieć dla nas interes niepospolity.

„Prawdziwe nazwisko — powiada na wstępie — jakieby dać należało tym utworom, dzieciom wieku studyów filozoficznych, z któremi nic w przeszłości porównanem być niemoże, byłoby nazwisko *dramatu metafizycznego*.“

Jakkolwiek nie moglibyśmy zgodzić się zupełnie na to zdanie, które właśnie nazwalibyśmy może zanadto metafizycznem, podnosimy je wszakże głównie dla tego, że nam najlepiej wyświeca stanowisko szanownej autorki. Uważa ona tych trzech wieszczów i ich główne utwory jako dzieci wieku minionego — który przy schyłku swojego żywota oddał się przeważnie badaniom filozoficznym w całej nagości panteistycznego realizmu — i chce odkryć właśnie, o ile logika, filozofująca i rozbierająca, wpłynęła na wyrabianie się myśli w tych trzech jenialnych poetach?

Tak a nie inaczej, zda się nam, trzeba rozumieć stanowisko pisarki — i to studyum całe okrasza ona i wielkiemi myślami i stylem tak pełnym uroku, że się prawdziwie trudno od czytania oderwać, mimo całej niezwykłej głębokości poglądu, do której po prawdzie nie bardzo nas przyzwyczaili Francuzi w utworach podobnego rodzaju. Francuzi, prócz małych wyjątków z nowszych już czasów, spisali mnogie tomy najrozmaitszych wrażeń, w których jest styl, jest błyskotność czeskiego dyamentu, a nawet i artyzm w gładkiem powierzchownem ujęciu; które lubo czytać się dają, ale w końcu choć się wrażeniami zowią, czytelników zostawiają bez silniejszego wrażenia. Nie tak pani Georges Sand. Lecz przebiegnijmy, choćby obszerniej nieco, (przez wzgląd na przedmiot nam sympatyczny) treść całego artykułu.

Słusznie zauważała autorka, że te wszystkie utwory bardzo mało są znane we Francyi. Jest to naiwne przyznanie się do dziwnej lekkości, właściwej charakterowi francuskiemu, z jaką wyższe nawet tego narodu intelligencye pomijają, albo hurtownemi sądami zbywają obce utwory. I tak jest w samej rzeczy. Faust jest zrozumiały ledwie dla (by użyć tej nazwy) najczystszej arystokracyi inteligencyjnej. Manfreda, nie pojmują lub mało ważą, sami nawet Anglicy, stawiając niżej od Korsarza, Giaura lub Childe Herolda, a przecież utwory te mimo wysokiej piękności, są jeno słabem odbiciem, do miary pospolitszych czytelników zastosowanem — wielkiej, niewygadanej jeszcze myśli jenialnego wieszcza.

A Dziady naszego Adama, jak sama Georges Sand przyznaje, ledwie stu miały we Francyi czytelników, i pomiędzy znakomitemi nawet inteligencyami francuskiemi byli tacy, co tego utworu nie mogli lub nie chcieli zrozumieć.

Jest li to u Francuzów obojętność, czy antypatya dla myśli poważniejszych?... zapytuje autorka sama siebie. Odpowiada sama sobie na to zarówno z głębokiem pojęciem rzeczy, jak i ze sprytem prawdziwie francuskim.

„Broń mnie Boże! powiada, bym przypisywała Niemcom wyższość filozoficzną, której kłam zadaje każdy najmniejszy krok Francuzów na drodze postępu politycznego, bo nie rozumiem zaprawdę mądrości, co mądrym nie czyni; siły, nie tworzącej prawdziwie silnych; ani wolności, co nie czyni ludzi wolnymi.“ Czy może być sprytniejsza paralela pociągniona między charakterem Germanów a charakterem Francuzów.

„Ale boję się, ciągnie dalej, azali Francya nie jest zanadto klasyczną, aby długo jeszcze nie była w stanie pojąć rzeczy do głębi, jeżeli forma rzeczy jest jej nieznana, lub jeszcze nie przyswojona. Gdy się Faust pojawił, panował jeszcze we Francyi rozum akademicki w całej swej pełni, który gwałtu zaczął krzyczeć na nieład, dziwaczność i ciemność tego arcydzieła, a to z tej przyczyny, że: forma była nową, a plan wolny i śmiały nie stósował się do nawyczek klasycznych, że Fausta nie można było wystawiać na scenie, i Bóg wie co jeszcze.“

Zdanie to tem mocniej nas uderzyć i nam się podobać musi, żeśmy kubek w kubek to samo przebyli z utworami naszego Mickiewicza. Naszym klasykom nie lazła do głowy nowa forma romantyczna. Osiński, zasłużony zkąd inąd, i jako profesor, i nawet jako poeta trzynastozgłoskowych starannie opiłowanych wierszy, wyruszył ze znanym konceptem, gdy publicznie przed uczniami dopuścił się wcale nie klasycznej parodyi:

Cicho wszędzie, głupio wszędzie!...

A Albert Mier, tłumacz Jerozolimy Tassa, i kilka Rasynowskich tragedyi jeszcze nie klasyczniej się wyraził, gdy rzekł w największej namiętności, rzucając pierwsze dwa tomiki Mickiewicza z nagością wyrażenia, której nawet powtórzyć niepodobna — prawda, że powiedział po francusku:

— Prędzej byłoby wolno plecami się obracać do przechodzących, niżeli napisać takie głupstwo.

Lecz cóż to pomogło i akademikom francuskim, którzy zowią się za życia nieśmiertelnemi, a doznają najsmutniejszej pośmiertnej śmiertelności, bo zupełnego zapomnienia — i naszym klasykom po pół wieku nad tem medytującym, jakby tu klasycznie a ozdobnie wypowiedzieć, jak w wiejskiej zagrodzie poczciwa i pożyteczna świnka przez płoty się przemyka? Przepadli bez wieści, lub żyją jeno butwiejącemi mumiami w książkowych katakumbach, a wielcy wieszcze za życia byli słupami ognistemi, wiodącemi naprzód swoją epokę i swoje narodowe społeczeństwo; a po śmierci świecą na niebie pamiątek gwiazdami słonecznemi dla świata całego.

Jeden tylko z równoczesnych Goethemu zrozumiał i pojął nową formę. Był nim największy tej epoki poeta Byron. Pojąwszy, ją przyswoił sobie i dobrze uczynił, bo każda nowa, na polu artyzmu pojawiona forma, jest niezaprzeczenie własnością wspólną każdemu artyście i poecie, który ją ożywić potrafi siłą i ogniem własnej myśli. Śmiesznemi zaiste są w takim razie krzyki na plagiat lub naśladowanie. Równie wolno jest w wielkie modły składać swe wielkie myśli, byle im były do miary, jak po dziś dzień nikt nikomu niezaprzeczy prawa naśladowania klasycznych form Rasyna lub Kornela; ani też nikomu nie przyjdzie na myśl gniewać się na takiego (jeżeli się taki zdarzy), któryby chciał naśladować poczciwej pamięci Molskiego lub Koźmiana — chyba, że mu kto powie, czy naiwnie czy szyderczo: Na zdrowie ci było. A wszakże i dawniejsi klasycy jak Molier lub Rasyn nietylko naśladowali, ale całemi szmatami tłómaczyli Arystofana i greckich tragików.

(C. d. n.)

Rzecz Artystyczna.

TEATR.

Z ostatnich przedstawień wspomnimy jeszcze o *Szklance wody*. Komedya ta jedna z najlepszych *Scribego* jest nadto dobrze znana, byśmy o niej recenzyę pisać chcieli. Chcemy tylko nadmienić o tem przedstawieniu, jako o pierwszym występie panny *Hofmann* w roli księżny *Marlborough*, po dłuższej przerwie. Publiczność, umiejąca ocenić piękny tej artystki talent, przyjęła ją szczeremi oklaskami, które też artystka wynadgrodziła grą dobrą i staranną. Równie dobrze grali p. *Królikowski*, panna *Biedrońska* i panna *Safir*.

Dnia 20go b. m. nareszcie odegrano *Maryę Stuart*, naszego *Juliusza Słowackiego*. Jakkolwiek znany już jest na naszej scenie ten dramat nieśmiertelnego wieszcza, napisany jeszcze w młodym wieku, pełen zatem świeżości i ognia, wdzięczni jesteśmy dyrekcyi, że nas podobnemi obdarza dziełami dramatycznemi. Jużciż stokroć milej nam widzieć na scenie takie utwory jak najczęściej powtarzane, niżeli tyle innych mierności, które stanowią zwykle konieczny balast każdego repertoaru. W rozbiór dramatu nie wdajemy się, bo też do ślicznej recenzyi dra *Małeckiego*, umieszczonej w *Album Nowakowskiego*, nic dodać nie można. Mimo wielu błędów, w rzeczonej recenzyi słusznie ocenionych, dramat ten iskrzy się cały pełną życia poezyą. Przyznać musimy, że wiele z tej cudnej poezyi znikło w przedstawieniu. Rozumiemy to doskonale, jak trudno jest oddać te wszystkie odcienia takiego dzieła, lecz tym razem raziło nas ze strony niektórych artystów niezupełne pojęcie charakterów, i za nadto chłodne ich oddanie. Taką rolę, jak Botwella, trzeba długo studyować, by zupełnie pojąć myśl autora. *Botwell*, to natura dzika, namiętna, palcem niejako przeznaczenia szatańskiem znamieniem napiętnowana. Jest w nim — jeżeli się wolno tak wyrazić — coś Makbetowskiego. Botwell pojęty przez Słowackiego nie mógł być czułym kochankiem, jakim go p. *Benda* w pierwszych mianowicie scenach przedstawia. Umiemy wszakże ocenić jego widoczne usiłowania, by stanąć na wysokości roli — rzeknijmy prawdę — za nadto trudnej dla tego artysty. Dodamy jeszcze, że na żaden sposób godzić się nie możemy z jego sposobem wygłaszania tak niepewnym, że, prócz wyrazu niczem nieuwydatnionego, mnóstwo słów nikło zupełnie. Wygłaszanie wiersza każdego jest niełatwe, a wygłaszanie poezyi głębokiej myślą i czuciem jest arcytrudnem zadaniem. Zbyć go nie można deklamacyą tylko, jak to czynił p. *Baranowski* w roli *Duglasa*. Cenimy prawdziwie zdolności pana *Baranowskiego*, i chcemy wierzyć w jego przyszłość, ale niech to ma zawsze na pamięci, że gra artysty nie kończy się na samej deklamacyi, bo do deklamacyi trzeba tylko dobrych pier-

si, a gra artystyczna obejść się nie może bez tego ciepła wewnętrznego, które zowiemy uczuciem, i jest jedynem prawdziwego talentu źródłem. Za to gra p. *Królikowskiego* w *Nycku*, bez przesady powiedziawszy, była mistrzowska. Gdyby tę tylko odegrał rolę, jużby mu należało przyznać nazwę szczerego i prawdziwego artysty. Scenę konania oddał z tak żywą prawdą, że słuchających mimowolnie rozczulił. W ogóle scena ta cała poszła bardzo dobrze; wszakże i p. *Wolski* w roli *Darnleya*, pokazał w tej scenie nie po raz pierwszy że ma talent. Oby też uwierzył i temu, że talent jest wielkim obowiązkiem przez samą Opatrzność na człowieka włożonym, który jej pracą odpłacać potrzeba. Wspomnieć jeszcze wypada o grze pana *Tatarkiewicza* w roli *Rizia*. Młodego tego artysty widzieliśmy po raz pierwszy w znaczniejszej roli, i przyznajemy z przyjemnością, że się z niej wcale dobrze wywiązał. Życzymy mu z serca powodzenia na tej drodze, i nie minie go, bo choć może ruchom jego wiele dałoby się zarzucić, ma on prawdziwe w piersi uczucie, i widać w nim szczere do wybranego zawodu zamiłowanie. Panna *Hofmann*, w roli *Maryi*, miała chwile śliczne i godne jej talentu, ale w niektórych scenach, mianowicie przy zamordowaniu Rizia, zdawało się przeważać jakieś niedobre może dnia tego usposobienie. W tej scenie, tak okropnej dla królowej, mniej było czucia, a więcej deklamacyi. Panna *Biedrońska* malutką rolę *Pazia*, oddała z prawdziwym wdziękiem, który jest najpiękniejszą jej talentu właściwością. Należało może tylko mocniej odcieniować to namiętne przywiązanie młodego chłopca do pięknej królowej, niewypowiedziane nigdy, ale ożywiające każdy ruch i każde słowo biednego pazia.

Przygoda pana Narcyza.

Ramotka — Nieramotka.

(Dokończenie).

Wszyscy ci panowie przybyli na wesele ze swojemi wzajemnie się nienawidzącemi i obgadujacemi rodzinami, których tylko tak niezwykłe zdarzenie, jak wesele panny Ziębówny, mogło na chwilę zjednoczyć.

Osoby, właśnie co opisane, tworzyły jakby śmietankę towarzystwa weselnego; gospodarstwo wielce sobie cenili ich bytność na weselu i niewiedzieli gdzie ich posadzić. — Co się tyczy właśnie co wspomnionego gospodarstwa, to była to para, jaką między rodzinami mieszczańskiemi napotkać można bardzo często. Pani Ziębina, dużo młodsza od męża, który już wdowcem z nią się ożenił, była gospodynią całą gębą, rządziła domem, a w domu mężem, który spożywał owoce długoletnią pracą na kuśnierstwie uzbieranego majątku, i berła domowego żonie odbierać niemyślał. Co pani Ziębina powiedziała, na to i pan Zięba przystał, wiedząc, że w razie przeciwnego zdania będzie miał hałas piekielny w domu, i że koniec końców, chcąc żonę odbruchać, przeprosić mu ją wypadnie.

Oprocz właśnie co opisanych gospodarstwa i gości, znajdywało się jeszcze na tem weselu kilka par mieszczańskich, krewnych panny młodej i pana młodego, podobnych zewnętrznie i wewnętrznie do siebie, a nakoniec było kilku wyświeżonych praktykantów, asystentów, akcesistów, diurnistów, i jak się tam cała ta sproszona do skoków młódź urzędnicza nazywa.

Po zgromadzeniu się zaproszonych gości i gdy otrzymali już byli państwo młodzi rodzicielskie błogosławieństwo, ruszono do odległego o pół milki kościołka. Ksiądz dziekan, mowca zawołany, odbywszy zwykłą ceremonią ślubu, w długiej i napuszystej mowie wyłożył nowożeńcom nowe ich obowiązki, napominał do wzajemnej miłości, bogobojności i pracy—a kiedy po długiej oracyi dawał błogosławieństwo... słyszano już dzwoniące po szybach kościelnych krople deszczu, i... ledwo że zgromadzeni goście wyszli z kościoła i powsiadali do bryczek i wózków, ze skwarnego nieba lunął gwałtowny deszcz i potężny grom rozległ się w powietrzu.

Pan Narcyz, odprowadzony przed kościół, wrócił jeszcze do zakrystyi, aby księdzu dziekanowi za odprawioną ceremonią ślubu podziękować; tymczasem goście weselni w powszechnym popłochu zapomnieli o nim tak, że... kiedy wrócił przed kościół, już ostatni powóz, całkiem napchany wiozącemi się, ruszał z przed niego, uchodząc przed coraz gwałtowniejszym deszczem.

Pan Narcyz, zmiarkowawszy co się stało, choć mocno zmartwiony tak niepomyślnym początkiem, postanowił, bądź co bądź, dostać się jak najprędzej do domu, a... niemając nic lepszego do zrobienia, wskoczył czemprędzej na tylną deszczułkę oddalającego się powozu, podniósł kołnierz od fraka do góry, kapelusz na nos silnie wcisnął i tak... urągając przeciwnym losom.... skulony we czworo odbywał podróż weselną.

Chmury coraz się bardziej ściągały, ciemność coraz większa rozpościerała się na widnokręgu, deszcz zaczął lać jak z konwi, a pan Narcyz, coraz więcej zniecierpliwiony dojmującą go wilgocią, trzęsąc się od zimna, zerkał z pod kapelusza na prawo i lewo: prędkoli stanie u kresu podróży? Ale podróż jakoś nad miarę się przeciągała. Miniono jedną i drugą wioskę, jechano pod jakąś górę, której... zdawało się panu Narcyzowi, że jej pierwej, jadąc do kościoła, wcale nieprzejeżdżał—nareszcie wjechano do jakiejś karczmy, której zupełnie na drodze do kościoła niebyło.

Parobcy i dziewki, znajdujący się w karczmie, spostrzegłszy pana Narcyza we fraku, z którego szosów deszcz spływał obficie, zeskakującego z za powozu, z cylindrem wtłoczonym po nos, z ogromnym bukietem przy boku, wybuchnęli serdecznym śmiechem tak, że siedzący na koźle stangret odwrócił się, aby zobaczyć: co mogło być powodem tego śmiechu? co widząc, siedzące wewnątrz powozu panie, otworzyły z niespokoju drzwiczki i... całe towarzystwo ujrzało pana Narcyza, który w pożałowania godnym stanie przystąpił do powozu i... dusząc się od wewnętrznego wstydu, opowiedział, jąkając się, jaki powód sprowadził go do powozu.

Można sobie wystawić rozpacz pana Narcyza, kiedy panie owe, wysłuchawszy jego mowy, chichocąc się, oznajmiły mu, że nienależą do towarzystwa weselnego, że tylko przejeżdżając przez ową wieś wstąpiły na chwilę do kościoła, i... że udają się do odległej ztąd jeszcze o pół mili wioski.

Pan Narcyz osłupiał. „Cóż sobie o mnie pomyśli Rózia... państwo Ziębowie... goście weselni?“ — tak dumał. „Tysiące bajek rozleci się po całym obwodzie, oczernią mnie, żem stchurzył; żem żony odbiegł po ślubie..... cały sąd obwodowy dowie się o tem.... kochane koleżki drwić sobie będą.“

Pan Narcyz stał przez kilka chwil jak wryty; wreszcie wybąknąwszy kilka słów, które go miały ekskuzować, począł przychodzić do siebie, zarekwirował karczmarza, obiecał mu sowite wynadgrodzenie za wyszukanie okazyi, a obsuszywszy się, jak mógł najlepiej, wsiadł

na sprowadzoną furkę, i—co konie powlec się mogły—popędził do miasteczka.

W domu państwa Ziębów panowało największe zamięszanie. Pana Narcyza nie było. Spostrzeżono to zaraz i zaczęto sobie nawzajem z stósownemi uwagami wiadomości tej udzielać. Potworzyły się po kątikach bawialnego pokoju małe grupy, szepcące po cichu, chichoczące się, lub jakieś bardzo znaczące miny robiące. Pani Ziębina straciła widocznie głowę, co się zaś tyczy pana Zięby, to zdaje mi się, że on nawet niezmiarkował, że pana Narcyza niebyło, był bowiem nieco podchmielony i w różowym humorze, uśmiechał się do wszystkich, serdecznie ich za ręce ściskając i w oba policzki całując. Dopiero żona, przystąpiwszy do niego, szepnęła mu do ucha:

— A wiesz ty Jakóbie, że Pisarzewski drapnął.

— A! coby tam miał drapać, he! he! he! a małożto tu wina i innych dobrych rzeczy, a gdzieby on to znalazł, he! he! he! pewno się musi do Różki zalecać.

— A niewidzisz ciemięgo, że Rózia siedzi tam w kącie, a jego koło niej niema.

— E! to nic nie szkodzi, nasiedzi on się jeszcze dosyć przy niej, aż mu się w końcu i znudzi.

Pani Ziębina spojrzała tak strasznym wzrokiem na męża, że gdyby niebył, jak to mówią, podcięty, byłby jej się przeląkł, i dygocąc od złości szybko się od niego oddaliła.

Panna Rozalia, jak mogła, udawała spokojną i bawiła gości, choć widać było na jej twarzy przymus, z jakim to czyniła. Niekochając zbytnie pana Narcyza, gdyż po parokrotnem widzeniu i poznać go dobrze nie mogła, obawiała się tylko, aby jej figla niewypłatał i... zwinąwszy kominka... nieosadził na koszu. Wmawiała więc w siebie, o ile mogła, że zapewne tylko jakiś przypadek, jakaś niedyspozycya jest przyczyną dziwnej jego nieobecności, i wmawiając to w siebie stawała się coraz więcej gadatliwą—starała się widocznie sama siebie oszukać; ale wszystko, co mówiła, tak jakoś nieskładało się i tak słuchających niebawiło, że spoglądano tylko znacząco na siebie i na drzwi tak, że panna Rozalia, wyczerpawszy wszelką materyę do rozmowy—tem prędzej, iż jej coraz mniej odpowiadano, zaczęła milknąć, widocznie się mienić i... bliską była omdlenia, gdy w tem—nagle—z łoskotem drzwi się otwierają i przez nie... jak bomba, cały... zabłocony, z promiennym wzrokiem i rozczochranym włosem wpada... pan Narcyz.

W miejsce ogólnego rozstrojenia nastąpiła ogólna radość; wszyscy biegli do pana Narcyza, aby go powitać, i z własnych jego ust dowiedzieć się, co było powodem tak długiej jego nieobecności? a dowiedziawszy się—dopiero zaczęto się bawić wyśmienicie, pić na zabój i... tańczyć do samego rana.

Tymczasem pan Narcyz, przysunąwszy się do panny Rozalii, zaczął ją przepraszać najmocniej, że jej tyle sprawił niespokojności, co ona mu po niejakich droczeniach przebaczyć raczyła. Biedaczysko aż się rozpłakał z radości i przyobiecał już nigdy a nigdy bez jej pozwolenia się nieoddalać.

Słowa wyrzeczone mają w sobie dziwny czasem fatalizm. Sprawdziło się to na panu Narcyzie. Od dnia ślubu tak był posłuszny żonie, tak jej w każdym względzie podlegał, że niewiem czy słusznie czy niesłusznie mówią o nim dotychczas, że jest pod pantoflem. Ale niema się czemu dziwić. Pan Narcyz był urzędnikiem, czuł on wagę swego urzędu; ale lubił także i bardzo lubił, być posłusznym swym przełożonym. Pokochawszy żonę, mimowolnie wyobrażał sobie w niej coś nakształt prezesa, i robiło mu to wrażenie „belobungsdekretu“ kiedy żona w obec znajomych, głaszcząc go pod bródkę, mówiła:

— Ej, przecież to niema poczciwszego chłopca nad mego Narcyza.

A wtedy pan Narcyz zwracał się z uśmiechem ku swej Rózi, i... w rączkę ją całował.

Artur Sławkowski.

Uwaga literacko-psychologiczna.

W dziełach Franciszka Karpińskiego, które weszły w skład Biblioteki Polskiej, czytamy między innemi co następuje:

Kościół święci zwycięztwo nasze pod Chocimem... to (zwycięztwo... święto) razem świętem obywatelskiem Chodkiewicza, który krajowi tę chwałę zdarzył, byćby powinno. Dawni Grecy swoim bohatyrom kaplice albo posągi wystawiali. My w Polsce posągów, dla wielkich ludzi naszych z woli narodu wystawionych, nie znamy(!!). Mała to nagroda, byle jak najoszczędniej dawana, wielkie za sobą pociągnęłaby do dzieł bohatyrskich zachęcenie.

Na publicznem miejscu posąg wystawiony do każdego z przechodzących gada o tejże cnocie, która na posąg zasłużyła... a skłonność w każdym człowieku, ażeby się unieśmiertelnić, zrobi *chęć pełnienia dzieł nieśmiertelnych.*

Jeżeli obywatel mężny ubogim jest, naród winien go dostatkiem przyzwoitym opatrzyć, ażeby widział każdy, że nie darmo ojczyźnie służy—jeżeli kogo dostojeństwa, albo majątek łechce, (należy) żeby drogą zasługi w ojczyźnie starał się o nie. Ale obywatelowi, który mężnie i roztropnie w przygodzie jakiej stawił się.... w czasie zgromadzenia narodu.. szabla n. p. z wypisaniem na niej dzieła bohatyra... imieniem całej ojczyzny oddana, ale przydemek do imienia przyczyniony, albo znak jaki, dla rozróżnienia się od inszych, publicznie od narodu zasłużonemu do noszenia pozwolony; ale na koniec posągi żywym a wreszcie zmarłym wielkim ludziom w ojczyźnie przez *sejm* naznaczone... i tym podobne — nie tak kosztowne, jako bardziej pochlebne dla uczynienia komu sławy, albo nieśmisrtelności—nagrody, *najszczęśliwsze skutki za sobą pociągnąć mogą.*

Wiadomość odnosząca się do historyi naturalnej.

Niedawno przywieziono do *Liverpoolu* małpę *Gorilla.* Pierwszy to egzemplarz tego podrodzaju zwierza w Europie. Gorilla tak jest podobną do człowieka kształtem i ruchami, iż podróżni (nie anatomowie i nie fizyologowie) mieli ją za dzikiego człowieka. Dzięki lepszej uwadze późniejszych podróżnych, pokazuje się, że o rodzaju dzikich ludzi, żyjących trybem zwierząt po lasach, już nie ma dzisiaj mowy. Kto też wierzył w tradycyą świętą, nigdy nie przypuszczał, aby mogli być dzicy ludzie w całem słowa znaczeniu: wszakże wiedział, że Bóg dzikich ludzi nie stworzył, że człowieka stworzył w stanie towarzyskim, po za którem niepodobna mu żyć, a więc i zdziczeć aż do zwierzęcości zupełnej w większej liczbie, która właśnie jest warunkiem, towarzyskie życie niezbędnie wywołującym. Gorilla przywieziona z Afryki do Liverpoolu ma 3 ½ stopy, będąc jeszcze młodą dała się ułaskawić bez trudu. Wybiera w jedle i je łakomo; grzeczna, bo stosuje się smakiem do Anglików i lubi soczystą sztukę mięsa przypieczoną (beefsteak). Bawi się zszywaniem gałganków, i jest silną do zadziwienia na młody swój wiek i mały wzrost.

Wiadomości przemysłowe.

Niejaki p. Lipiński w Warszawie wynalazł narzędzie rolnicze do kopania ziemniaków, które kopaczem nazwano. Próby odbyły się z pomyślnym skutkiem. Narzędzie wyrzuca ziemniaki bez uszkodzenia; jeden człowiek za pomocą pary koni potrafi sprzątnąć plon z dwóch morgów dziennie.

— Niejaki Heintz w Mnichowie wynalazł nową maszynę drukarską do układania liter, za pomocą której jeden składacz może w jednym dniu spory arkusz gazetowy złożyć. Taką maszynę składają się już królewskie rozporządzenia w Bawaryi.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.